Kolkata kojarzy się chyba wszystkim głównie z Matką Teresą. I rzeczywiście jeśli chodzi o zabytki, to nie znajdziemy tu tych najstarszych, sprzed wielu wieków czy tysiąca lat, a co najwyżej z czasów królowej Wiktorii… i te trzeba przyznać są naprawdę interesujące. Nasza ekipa miała je poznać niejako w drugiej kolejności, bo to ,co nas przygnalo do Kolkaty to misja wolontaryjna.

Ale po kolei…

Z pociągu, który przywiózł nas do tego kilkunastomilionowego miasta przesiedlismy się do taksówek, a te zawiozły nas do hotelu. Rozlokowanie się w pokojach zawsze nam trochę zajmuje, podobnie jak prysznic, bo chętnych w każdym pokoju do wyszorowania boskich ciał jest trzech lub czterech (trzy lub cztery). Po ablucjach przyszedl czas na kolację i małe zwiedzanie, ale… JESTEŚMY W INDIACH, a tu od zamówienia dania z karty do jego konsumpcji może minąć duuuuużo czasu. My, tego pierwszego wieczora w Kolkacie, czekaliśmy na realizację zamówień około dwie godziny. Masakra albo nauka cierpliwości. Przydatna. Zwiedzanie musieliśmy odłożyć na następny dzień i może dobrze się stało. A następnego dnia budziki wyrwały nas ze snu i łóżek przed piątą rano oczywiście. Bo żeby rozpocząć wolontariat w domach Matki Teresy trzeba najpierw pojawić się na porannej mszy, która zacxyna się o szóstej. No i po zbiórce o 5.20 poczłapaliśmy prawie jeszcze pustymi ulicami do domu Matki Teresy się pomodlić. Po mszy siostry częstują wolontariuszy skromnym śniadaniem (kromka chleba, banan i kubek czaju, czyli tutejszej herbaty) i przydzielają domy, w których ludzie z całego świata pomagają innym – chorym, umierającym i zawsze samotnym… My zjedliśmy śniadanie, Kumar pogadał z siostrą przełożoną i okazało się, że z powodu zbyt wielu grup wolontariuszy, my będziemy mogli zacząć swoją pracę dopiero następnego dnia. Cóż… bywa. No więc ruszyliśmy zwiedzać miasto. Widzieliśmy katedrę św. Pawła, Muzeum Wiktorii, klimatyczny cmentarz z końca XVIII, na którym pochowani są mieszkający ongiś w Kalkucie Brytyjczycy… o 15tej wróciliśmy do domu Matki Teresy wypełnić formularze wolontariackie i ustalić czas naszej posługi chorym, bo jedne grupy pracują do południa a inne po południu. Nam zależało na godzinach przedpołudniowych, bo chcieliśmy przecież jeszcze zwiedzić parę miejsc. A po dokonaniu formalności, wskoczyliśmy do miejskiego busa i pojechaliśmy na FLOWER MARKET. Warto było wytelepać się w autobusie jakieś pół godziny, bo po prostu utonęliśmy w morzu kolorów i zapachów. Kwiaty, w każdym chyba kolorze, ułożone w pęki i nawleczone na sznurki przyciągały nasze spojrzenia i prowokowały do zrobienia kolejnych dziesiątek zdjęć.

Do hotelu wróciliśmy późnym wieczorem. Szybka kolacja, sen i… znowu msza o 6tej a potem odbiór przydziałów do Shanti Dan, Prem Dan i innych. Ja z grupą dziewczyn, a Kumar z czterema chłopakami, musieliśmy dojechać do Kalighat i domu hospicyjnego, zwanego Nirmal Hriday, czyli najstarszego, czyli pierwszego domu opieki założonego przez Matkę Teresę. A tam praliśmy, rozwieszaliśmy pranie, zajmowaliśmy się pensjonariuszami jak trzeba było i jak poleciły nam siostry lub mashi, czyli stałe opiekunki chorych, karmiliśmy ich i sprzątaliśmy pomieszczenia, w których przebywają. A ja tańczyłam z jedną z pensjonariuszek. Była sprawna, radosna i chyba kochała muzykę, bo kiedy ta rozbrzmiała, porywała w tany wolontariuszki. Następne dni wyglądały podobnie, ale my coraz bardziej zżywaliśmy się z chorymi, którzy szybko zaczęli nas kojarzyć i witać bezzębnymi uśmiechami kiedy przychodziliśmy. Niektórzy postanawiali odejść nie żegnając się z nikim. Nagle. Cicho.

Niepostrzeżenie. Ale tu śmierć jakoś mniej przeraża. Nie jest tabu jak w świecie, w którym żyjemy. A my, realizując naszą misję, przy okazji poznaliśmy wielu wolontariuszy z Hiszpanii, z Polski jak my, z Japonii, Korei…

W Kolkacie dołączyli do nas doktor Jarek Kurak, Szef Stowarzyszenia Przyjaciół Słowaka z córką Bogną, absolwentką, studentką medycyny. Jak my pracowali w domach Matki Teresy i zwiedzali z nami miasto i okolice. Pojechaliśmy na przykład zobaczyć Great Banyan Tree, tj. największe drzewo świata, szwendaliśmy się po mieście, by zobaczyć najbardziej reprezentacyjne dzielnice i budynki, zjeść coś dobrego i napić się lassi, które poi, ale i dostarcza organizmowi przyjazną mu florę. Kolkata to wielkie i „trudne” miasto, ale jednocześnie jakoś przyjaźnie przygarniające przybyszów.

Ps. Drugiego dnia wolontariatu, korzystając z tego, ze jesteśmy na Kalighat, poszliśmy do świątyni Kali i mieliśmy okazję zobaczyć ceremonię składania ofiar z kóz… straszne i krwawe widowisko…